Nr 187 Kraków, Sobota dnia 17 Sierpnia 1895. Rok III

Przedpłata
w Krakowie:
rocznie . złr. 16·—
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
Za odnoszenie ct. 20
Na prowincji:
rocznie złr. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicę:
miesięcznie złr. 2.—

Numer zwykły 8 ct.
Niedzielny 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Ogłoszenia
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct.
W „Nadesłanem“ wiersz zwykły 20 ct.
Śluby, nekrologi, wiersz 40 ct.
Do działu inseratów upełnomocnieni St. Cyrankiewicz i Spółka.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Adres Redakcji: Kraków, ulica św. Anny l. 3.

REDAKTOR NACZELNY: JÓZEF BOGOSZ.

Adres Administracji: Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.

DO BRAZYLJI.

Lwów, d. 14 sierpnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

(C). Od dawna zapowiedziany wyjazd dra Stanisława Kłobukowskiego, dyrektora tutejszego Tow. handlowo-geograficznego, do Brazylji, doszedł onegdaj do skutku. Wyjazd ten, a raczej wyprawa, gdyż wywołały go względy szerokiej obywatelskiej natury, ma przedewszystkiem znaczenie ekonomiczne, a potem ściśle organizacyjne. Wiadomo, że wskutek petycji Tow. handlowo-geograficznego, jeszcze w lutym uchwalił Sejm rezolucję, wzywającą Wydział krajowy do zbadania warunków, w jakich mogłyby być nawiązane stosunki handlowe z kolonjami polskiemi w Ameryce z korzyścią dla przemysłu krajowego. Korzystając z tak ważnej uchwały reprezentacji krajowej, postanowiło Tow. handlowo-geograficzne przyprowadzić do skutku swój dawny plan urządzenia wyprawy handlowej do Brazylji i misję tę powierzyło drowi Kłobukowskiemu. Przyjąwszy przy tej sposobności kierownictwo nad jedną z partyj emigrantów, wyjeżdżających pod opieką Tow. św. Rafała, uzyskał dr Kłobukowski wolny przejazd okrętem z Genui do Brazylji i napowrót, szło jeszcze tylko o kwotę potrzebną na objazd rozrzuconych w południowych stanach Brazylji osad polskich, którą obliczono na 2000 złr.

Spodziewając się, że w myśl uchwały sejmowej, Wydział krajowy zechce poprzeć usiłowania Tow. handlowo-geograficznego, zwrócił się zarząd tego Tow. do Wydziału krajowego z prośbą o subwencję, spotkał się jednak z odmowną odpowiedzią, wskutek czego też wyprawa doznała pewnej zwłoki. Zebrawszy w ciągu kilku tygodni potrzebny kapitał bez pomocy Wydziału kraj., Tow. handlowo-geograficzne doręczyło go drowi Kłobukowskiemu, który 11 bm. wyjechał ze Lwowa na Wiedeń i Genuę do Brazylji, zaopatrzony w polecenia austrjackiego ministerstwa spraw zagranicznych, polskiego Tow. handlowo-geograficznego, oraz Tow. św. Rafała. Celem wyprawy dra Kłobukowskiego jest: 1) zbadanie, jakie wyroby galicyjskiego przemysłu mogą znaleźć miejsce zbytu wśród osad polskich, ewentualnie także wśród reszty ludności Brazylji, w którym to celu dr Kłobukowski zabrał ze sobą próbki i cenniki rozmaitych naszych wyrobów, a przed wyjazdem jeszcze wysłał do Rio Janeiro próbki kilimów i makat gliniańskich; 2) zbadanie stosunków zarobkowych, zwłaszcza na plantacjach i ewentualnie zainicjowanie akcji celem przesiedlenia polskiej ludności robotniczej na kolonje rolne w Paranie; 3) zbadanie stosunków kolonizacyjnych Brazylji, w którym to celu zwidzi dr Kłobukowski nietylko ważniejsze kolonje polskie w stanie Parana, ale także mało znane osady, rozrzucone w stanach Rio Grande do Sul i St. Catharina.

Pobyt dra Kłobukowskiego w brazylijskich prerjach, jest obliczony na 4 do 5 miesięcy (sama droga tam i napowrót zajmie półtora miesiąca) i bez wątpienia wyda obfite owoce, które przekonają może samolubów, mierzących tak naturalny i potężny ruch ludowy, jakim jest emigracja, stopą zarobku, wypłacanego rozmaitym wiejskim kosiarzom i żniwiarzom, że talent kolonizacyjny, który tkwi w chłopie polskim, nie jest rzeczą obojętną dla ogólno-narodowego rozwoju, i że o ile fabryczna kolonizacja polska w Stanach Zjednoczonych, jest elementem, który w grze interesów naszych, może mieć tylko pewne chwilowe znaczenie na dziś, o tyle rolnicza kolonizacja w południowej Ameryce posiada olbrzymie i trwałe znaczenie na przyszłość. Tylko niedołężne i słabe narody, nie mają odpływu na zewnątrz, i nie zdobywają nowych terenów. Fenicjanie i Grecy w starożytności, a Anglicy i Portugalczycy w późniejszych czasach, pokazali światu, co znaczą emigracja i osady zamorskie.

Polska, której rola dziejowa nie skończyła się jeszcze, i której etnograficzne sąsiedztwo z morzem Bałtyckiem, dzięki silnie rozbudzonemu ruchowi narodowemu na Kaszubach, pozostanie na zawsze drogocennym skarbem, powinna zrozumieć, jak wielką doniosłość może mieć dla niej w przyszłości silna organizacja rolnicza za Oceanem, tak pod względem ekonomicznym, jak ogólnonarodowym. Już dziś, cyfrę ludności polskiej w południowych Stanach brazylijskich można przyjąć na 120.000. Ludność ta teraz jeszcze uboga i ciemna, w miarę wzrastającego dobrobytu, wywoła odpływ nadliczbowej naszej inteligencji, księży, nauczycieli i kupców, niemniej, jak bankrutującej warstwy drobnych przemysłowców, a z czasem może, mógłby się wytworzyć stały rynek pracy dla przedsiębiorczej młodzieży naszej, która dziś, z powodu braku posad, szuka jedynej ucieczki w protekcji rozmaitych wpływowych figur, aby tylko uczepić się klamki jakiegoś Banku, albo Wydziału krajowego. Tylko ślepota albo egoizm kastowy, mogą uważać za klęskę to, co jest koniecznym wypływem stosunków ekonomicznych, i co dla przyszłości kraju nie pozostanie bez doniosłego znaczenia. W tym duchu też, życzymy wyprawie dra Kłobukowskiego jak najlepszych sukcesów i wszechstronnego powodzenia, i wyrażamy szczery żal, że nasza magistratura tak po macoszemu obeszła się z nią, spychając na barki prywatnej inicjatywy to, co już Sejm nawet uznał za sprawę publiczną.

W dzień po wyjeździe dra Kłobukowskiego, wyruszyła ze Lwowa osobnym pociągiem piąta partja wychodźców, zostających pod opieką dzielnego tow. św. Rafała, w liczbie 106 rodzin, a około 600 dusz z trzech powiatów wschodnio-galicyjskich: bobreckiego, przemyślańskiego i złoczowskiego. Nawet najgorętszy czas robót w polu, nastręczający chłopom pewien zarobek, nie zdołał powstrzymać pędu emigracyjnego. Niektórzy emigranci z goryczą opowiadali, że są zdecydowani nawet umrzeć w Brazylji, byle nie znosić nędzy w kraju. Stosunki zarobkowe, według ich relacji, są w wymienionych trzech powiatach, a zapewne i w innych okolicach kraju, istotnie okropne. Mężczyzna zdrów i silny, za ciężką codzienną pracę od godziny 4 rano, zarabia 15 ct. podczas żniw, a 10 ct. po żniwach. Charakterystyczne jest to jeszcze, że nawet mazurzy, którzy przed kilku laty poprzenosili się na Ruś, i tu pokupowali grunta, mimo, że uchodzą powszechnie za pracowitych i wytrwałych, sprzedają dobytki za półdarmo i uciekają za morze.

Sprawa bułgarska.

Wiedeń 14 sierpnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

(δ) Historja „komunikatu“ z Petersburga, w sprawie bułgarskiej, podana przez austrjackie *Correspondenz Bureau*, jeszcze nieskończona, a przynajmniej rozprawa dziennikarska nad nią nie zamknięta. Pokazuje się, iż wzięto *u* za *a*: prywatne doniesienie za urzędowe. Zaprzeczenia, które teraz posypały się jak z rogu obfitości, mają na celu obwieścić światu, iż biały car skłania się do pojednania z Bułgarją, księcia Ferdynanda, pod pewnemi warunkami. Zatem książę Ferdynand nie wisi między ziemią a niebem. To dziś już rzecz pewna. Dowodzi tego nadto, uroczyste przyjęcie, jakiego doznał przy swojem przybyciu do Plowdiwu (Zofji). Książę Ferdynand jedzie z paradą na koniku rosyjskim w nadziei, iż zdoła dotrzeć na nim do Adryanopola i Tulczy. Gotów więc spełnić warunki rosyjskie, chociażby one były nawet nieco twarde. Następca tronu, Borys, ma być stanowczo przechrzczonym na prawosławie, na co się książę Ferdynand zgadza w zupełności, jak zapewnia jeden z byłych bułgarskich ministrów, bawiący obecnie w przejeździe do Karolowych Warów, w Wiedniu.

—Śmiercią Stambułowa—mówił tenże—okupiła Bułgarja, „mordująca swe proroki“, przebaczenie Rosji. Lubo osobiście należałem do przeciwników Stambułowa, muszę, jako człowiek uczciwy i Bułgar, wyrazić największe oburzenie i pogardę dla tych wszystkich, który moralnie przyczynili się, do tego haniebnego morderstwa największego syna naszej ojczyzny. Niestety, wziął u nas obecnie górę prąd rosyjski, nieliczący się bynajmniej z moralnością publiczną. Stronnictwo będące obecnie u steru rządu w Bułgarji, a na jego czele książę, ogarnięci są dzisiaj już nie prądem, ale szałem grania — *va banque*. Marzy im się o królestwie, o zagarnięciu nie tylko Macedonji, ale także i części Serbji, mianowicie okręgów Niszu i Pirotu, a zaślepieni tą manją powiększenia Bułgarji, tracą oni poczucie samodzielności, stają się prostem narzędziem Rosji.

— Czy prawdą jest—zapytałem, —że ma do Plowdiwu przybyć jako ajent dyplomatyczny, znany hr. Ignatiew, były ambasador rosyjski w Konstantynopolu?

— Bardzo być może — obecnie u nas jest wszystko możebnem. Książę zdał się na łaskę lub niełaskę stronnictwa oddanego Rosji, które wprawdzie utrzymuje w słowach, iż chce stać na straży samodzielności i niezawisłości Bułgarji, w czynach atoli, bynajmniej słów swych nie usprawiedliwia. Igramy obecnie z ogniem. Strzecha chaty naszej bardzo zagrożona, jeśli się zerwie pierwszy lepszy wiatr.

— Chwilowo jednak straciła sprawa bułgarska groźne swe znamię.

— Tak, ale na jak długo? Położenie jest o tyle mniej pewnem, iż książę, na podstawie wskazówek, otrzymanych z Petersburga, przez naszą deputację, zabiera się do reformy rządu i ustroju konstytucyjnego. A nie trzeba zapominać, że Cankow i Karawelow występują już otwarcie przeciwko księciu, żądając jego wydalenia. Sądzą oni, iż przez jego usunięcie, byłby jednym zamachem usunięte wszelkie trudności i przeszkody, stojące w drodze pojednaniu się Rosji z Bułgarją.

— Wszak pan sam — wtrąciłem — uważa to pojednanie przy utrzymaniu się księcia Ferdynanda na tronie bułgarskim, za możliwe.

— Tak, za możliwe, ale Cankow i Karawelow chcieliby co do tego mieć pewność, a ta polega według ich widzenia rzeczy, na usunięciu księcia. W tem właśnie leży niebezpieczeństwo.

Z ZOFJI.

Dnia 14 sierpnia.

W dniu 13 b. m. w Zofji zwołana Rada ministerjalna trwała kilka godzin, mianowicie zastanawiano się nad tem, jakie przedsięwziąć środki celem upamiętnienia rocznicy wstąpienia na tron księcia Ferdynanda. Niemniej też przedmiotem rozpraw był artykuł *Fremdenblattu*, w którym Rada upatrywała najwyraźniejszą oznakę powrotu dobrych stosunków pomiędzy Bułgarją a Austro-Węgrami, czego dowodem jest przeznaczenie dawnego dyplomatycznego posła austro-węgierskiego, p.

Burjana, na ambasadora w Bułgarji, który z poprzednich lat swego w tym kraju urzędowania, zyskał sobie wielką sympatję narodu bułgarskiego.

Uroczystość obchodu wstąpienia na tron księcia Ferdynanda w dniu 14 b. m. głównie oparła się na przeglądzie wojsk. Wystąpiło dziesięć tysięcy żołnierzy i uszykowało się kolumnami na przestrzeni, rozścielającej się u stóp góry Bitosch. Nietylko olbrzymi obelisk z rosyjskim orłem, ustawiony na rozłogu górzystym, przypomina ową miejscowość, jako krwawy plac boju, ale nadto do owej miejscowości przywiązana jest tradycja, sięgająca jeszcze starożytnej Grecji. Obok kolumn wojska, ze wszystkich prawie stron stały olbrzymie tłumy ciekawych. Sprawiało to niezwykłe wrażenie, tem więcej, że mimo jasnych promieni słońca, mimo dość upalnego dnia, na szczytach olbrzymich gór lśniły pokłady wieczystego śniegu. Pośród czworoboku uszykowanych wojsk, urządzono rodzaj niewielkiego obozu, w którym odznaczały się dwa wspaniale przystrojone namioty, jeden jako polowa wojskowa kaplica, drugi książęcy.

Zgromadził się tutaj cały świat urzędowy Bułgarji, grupując się około naczelnej głowy duchowieństwa i kościoła, około metropolity Gregora. Metropolita zwracał na siebie szczególną uwagę. Jest to mąż silnie zbudowany, z wyrazem rozumu na twarzy, z okiem pełnem ognia, mimo lat 50. Obok niego stał metropolita Klemens o twarzy pełnej, której wyrazu odgadnąć trudno. Nadzwyczaj długa broda nadaje mu surową powagę. Oko jaśnieje spokojem niemal dziecinnym, niewinnym. Znanym jest powszechnie epizod z życia Klemensa, kiedy aresztowany w Tirnowie, zmuszonym był przez dozorcę więzienia do spędzenia całego dnia podczas straszliwego upału w izbie, wystawionej na działanie słońca, w której oprócz tego napalono w piecu.

O godzinie pół do siódmej książę na czele grona oficerów, w pełnym galopie konia ukazał się na placu. Zagrzmiały bębny i wzniosły się długo trwające okrzyki. Następnie zsiadłszy z konia wprowadzony został przez dygnitarzy wojskowych i cywilnych do namiotu, urządzonego jak kaplica. Tu odprawiono uroczyste nabożeństwo a wreszcie całe duchowieństwo odmówiło modlitwę za pomyślność księcia i kraju. Po nabożeństwie książę w swoim namiocie przyjmował życzenia od duchowieństwa, ministrów, członków Sobranja i władz miejskich Zofji.

Wypowiedziano liczne mowy, w których nie było najmniejszej wzmianki o stosunkach politycznych i rozpoczął się przegląd. Przedefilował przed księciem minister wojny Petrow, na czele pierwszego pułku, pamiętnego udziałem w wypadkach zaczasów Aleksandra. Książę pozdrowił żołnierzy, na co otrzymał okrzyk „niech żyje książę!" Za tym pułkiem, w długim szeregu defilowały dalsze części wojsk wszelkiej broni, piechota i artylerja. Publiczność z nadzwyczajnym entuzjazmem brała udział w przeglądzie. Ile razy ukazała się chorągiew, ze śladami przebytej wojny, tyle razy cała publiczność witała ją zdjęciem kapeluszy i oklaskami. Nadzwyczaj sympatycznie przyjęto oddziały artylerji. Armaty ciągnęły małe zwinne pony, obrazek to był przepyszny! Zakończyła przegląd galopująca przyboczna gwardja księcia, na której czele znowu stanął Petrow. Wszystkie oddziały wojska przedstawiają się wybornie wymustrowane, żołnierze wyglądają zdrowo, są to ludzie rozrośli, dobrego wzrostu i odznaczający się postawą prawdziwie marsową. Pomiędzy nimi wyróżniają się typy Mongołów i Kurdów, ogólnie jednak nie znać nic, coby zakrawało na charakter azjatycki, przeciwnie tak żołnierze jak i oficerowie odznaczają się inteligencją, wyrobieniem wojskowem i odwagą. Słusznie też Bułgarja armję swoją uważa jako podstawę państwa; obronę i hamulec przeciwko knowaniom, na które narażone bywają inne kraje.

Umilkły trąby bojowe, ścichły okrzyki, a gromady uradowanej ludności spokojnie ruszyły ku miastu. Książę jednak powrócił do namiotu, gdzie przygotowane było dla niego przez oficerów wykwintne śniadanie. Podpułkownik Tonczew, dowódca gwardji, wypowiedział odpowiednią mowę, w której zaznaczył „łączność władzy z armją". Mowa wywołała nadzwyczajny entuzjazm, a odpowiedź księcia przyjęto nieustającemi okrzykami. Oficerowie na własnych rękach wynieśli księcia do powozu. W mieście wieczorem wszystkie domy zostały oświetlone.

Z KRAJU.

Ruch przedwyborczy.

Centralny Komitet wyborczy dla zachodniej części Galicji i Wielkiego Księstwa Krakowskiego, zawiadamia organizujące się dla wyboru posłów do Sejmu krajowego Komitety lokalne: z małej własności, z miast i z większej posiadłości, że zjazd delegatów ze wszystkich kuryj wyborczych Galicji zachodniej, odbędzie się w Krakowie dnia 31 sierpnia b. r. o godzinie 11 przed południem w gmachu Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń przy ulicy Basztowej l. 8.

Na zjazd ten wszystkie lokalne Komitety wyborcze raczą wysłać swoich delegatów.

Na porządku dziennym obrad zjazdu delegatów będzie:

1) Wybór pięciu członków do Komitetu centralnego (uchwała sejmowego Koła polskiego §. 9).

2) Dyskusja o sytuacji wyborczej w zachodniej Galicji.

Komitet centralny prosi uprzejmie tych mężów zaufania, których powołał do zorganizowania Komitetów lokalnych, aby rzeczoną organizację o ile możności szybko uskutecznili i tym sposobem dali możność każdemu okręgowi wyborczemu wysłania swojego delegata na zjazd ogólny delegatów, w dniu wyżej oznaczonym odbyć się mający.

Przy tej sposobności Komitet centralny zwraca uwagę Komitetów powiatowych dla wyborów z mniejszej własności, że już w najbliższym czasie odbywać się będą wybory wyborców w każdej gminie.

Czuwać nad temi wyborami jest ważnem zadaniem i obowiązkiem obywatelskim legalnie istniejących Komitetów lokalnych. Należy się starać, aby na wyborców wybrani zostali ludzie rozsądni, stateczni, porządni, trzeźwi. Należy objaśniać wyborców o rzeczywistym stanie rzeczy i sprawy publicznej, prostować błędy, odpierać fałsze, które tu i owdzie wśród mniej wykształconej ludności szerzą ajenci jakiegoś samozwańczego Komitetu, który się nazwał „Komitetem centralnym stronnictwa ludowego", a który zawiązał się w Rzeszowie. Słowem pracować i działać — nie dać się rozwielmożnić anarchji, bronić ludności od terroryzmu skrajnych agitatorów, porządek społeczny od zamięszania.

Energiczną działalność w tym kierunku Komitet centralny zaleca gorąco Komitetom powiatowym. Niewątpliwie na tej drodze znajdą one poparcie wszystkich uczciwych i rozsądnych ludzi.

W imieniu Komitetu centralnego:

Józef Męciński, prezes.

Kraków, dnia 14 sierpnia 1895 r.

ZE ŚWIATA.

Budapeszt d. 12 sierpnia.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Dnia 5 stycznia 1884 r. na poczcie peszteńskiej popełniono niesłychanie śmiałą kradzież szkatułki żelaznej, zawierającej olbrzymią sumę 250000 guldenów. Sprawców kradzieży na razie nie wykryto i dopiero teraz, po jedenastu latach, udało się policji peszteńskiej trafić na ślad i ująć złoczyńców. Od dłuższego czasu, policja zwróciła uwagę na pochodzącego z Duna Szeksö w komitacie Baranyaskim, a mieszkającego obecnie w Peszcie, właściciela hotelu „pod złotym orłem" Emeryka Csombora, którego, o ile można miarkować, świetny stan majątkowy, pokryty był dziwną tajemnicą. Przeszłość Csombora, prowadzącego teraz bardzo przykładne i wygodne życie, a nawet mięszającego się do polityki, była dość awanturniczą. W młodości swej był żeglarzem, potem policjantem, dozorcą cmentarza, konduktorem, a w czasie spełnienia kradzieży, woźnym na poczcie.

W ostatnich czasach, od roku 1890, Csombor zaczął występować w roli zamożnego człowieka, kupował domy w Peszcie, Czegledzie i Duna Szeksö.

W roku 1884, po kradzieży, robiono w mieszkaniu jego rewizje, lecz bezskutecznie. Obecnie zaczęto śledzić przyczyny raptownego jego bogactwa i policja dowiedziała się, że prawie co roku przyjeżdża do Csombora jakiś nieznajomy, który przed dziesięcioma laty był żeglarzem, a przedtem włóczęgą, od roku zaś 1887 wygląda na zamożnego człowieka.

Pytany parokrotnie o nieznajomego, Csombor dawał wymijające odpowiedzi, wiedziano zaś tylko, że nazywa się Joszko i przyjeżdża z Dalmacji.

Prowadzone energicznie w Peszcie, Fiume, Tryjeście, Poli i Zarze śledztwo wykryło, że tym Joszką musi być pewien Józef Szupiszicz, mieszkający od r. 1884, na należącej do Dalmacji wyspie Selve, uchodzący tam za zamożnego człowieka, którego jednak majątek niewiadomego jest pochodzenia. W Selvie opowiadano, że majątek odziedziczył Szupiszicz, jak sam mówił, po zmarłej w Peszcie żonie, w Peszcie znów opowiadał Csombor, że Szupiszicz ożenił się z bogatą panną w Poli.

Te sprzeczności, dały policji do myślenia, i pobudziły ją do działania.

Do Selve wysłano komisarza policji, który porozumiawszy się z miejscowemi władzami sądowemi, przystąpił do niespodzianej rewizji mieszkania Szupiszicza. W mieszkaniu znaleziono 70,000 guldenów w papierach procentowych i gotówce, oprócz zaś tego nieruchomości, stanowiące własność podejrzanego, przedstawiają wartość 20,000 guldenów.

Pytany o pochodzenie majątku, tłómaczył się naprzód, że zarobił dużo przy przeprawie w roku 1877 wojsk rosyjskich przez Dunaj, że oprócz tego znalazł w Sistowie znaczną sumę pieniędzy, bo 7,000 napoleondorów, potem jednak zaczął się w swych zeznaniach mięszać, i w końcu przyznał się, że ukradł wspólnie z Csomborem z poczty peszteńskiej szkatułkę żelazną z 250,000 guldenów.

W połowie grudnia 1883 r. rzekł do niego Csombor, z którym przedtem służyli razem jako majtkowie na parowcach krążących po Dunaju:

— Słuchajno Joszka, za dni kilka zdobędziemy mnóstwo pieniędzy.

Dnia 3 czy 4 stycznia kazał mu Csombor stanąć o g. 6 wieczorem, w bramie poczty, z pustym workiem. Zrobił tak jak mu kazano. Wkrótce zjawił się Csombor, wziął od niego worek, wszedł do gmachu i w chwil kilka wrócił z workiem, w którym znajdował się jakiś ciężki przedmiot. Worek ten zaniósł Szupiszicz do domu, w którym mieszkał idący za nim Csombor i schowali go w drwalni pod drzewem.

Na drugi dzień otworzyli worek i wyjęli z niego kosz, w którym znajdowała się żelazna szkatułka. Worek i kosz kazał Csombor zabrać przyjacielowi, napełnić kamieniami i wrzucić do Dunaju, co też Szupiszicz uczynił. Szkatułkę schowali napowrót pod drzewem.

Tymczasem Csombor wynajął pokój, gdzie zaniósł pusty kufer.

W dwa tygodnie potem wyjęli szkatułkę z kryjówki, włożyli do worka, który Szupiszicz, znowu z polecenia wspólnika, zaniósł do łodzi i przewiózł na drugi brzeg Dunaju. Csombor przyszedł tam piechotą. Tu szkatułkę rozbili, wyjęli jej zawartość, składającą się z dziesięcio, pięcio i jednoguldenowych banknotów, szkatułkę zaś pustą wrzucili do rzeki.

Pieniądze w worku zanieśli do mieszkania Szupiszicza i tu się niemi podzielili. Csombor swoją część włożył w worek, Szupiszicz zaś swoją do wyżej wymienionego kufra i wyjechał z nim do Dalmacji. Odtąd co rok odwiedza swego przyjaciela w Peszcie.

Po przyznaniu się do winy Szupiszicza, aresztowano go natychmiast, jego zaś zeznanie przesłano telegraficznie policji peszteńskiej.

Po otrzymaniu telegramu, naczelnik policji, inspektor i sześciu ajentów śledczych, udało się do hotelu „pod złotym orłem". Było to nad ranem. Csombora obudzono ze snu. Gdy ujrzał policjantów, zląkł się bardzo.

— Czego chcecie odemnie? spytał.

Gdy mu wyjaśniono cel przyjścia, żywo protestował przeciw oszczerczym, jak mówił, podejrzeniom.

Mimo zapewnień o niewinności, aresztowano go razem z kobietą, z którą żył oddawna i odwieziono oboje na policję.

Tu badany Csombor stanowczo przeczył wszystkiemu, twierdząc, że zeznanie Szupiszicza jest czystem kłamstwem. W latach 1883 i 1885 wcale się z nim nie widywał, kradzieży więc wspólnie popełnić nie mogli. Znaleźli się jednak świadkowie, którzy dowodzą, że właśnie w tym czasie widzieli ich obu bardzo często razem.

Po kradzieży Csombor dwa lata jeszcze służył na poczcie, potem założył skład węgli i drzewa, który szedł tak źle, że musiał go zamknąć. Potem wspólnie ze znajomym dzierżawili skład wina, lecz i tu szło bardzo źle. Dopiero od czasu, jak przed pięcioma laty objął hotel „pod złotym orłem", majątek jego zaczął raptownie wzrastać. Zdawało mu się, że już nadszedł czas puścić w obieg długo ukrywane pieniądze. Zaczął kupować domy i place i to właśnie zwróciło uwagę, znającej jego przeszłość, policji.

Ech a kąpielowe.

Krynica d. 15 sierpnia.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Sama Krynica jest w uroczem położeniu, obdarzona obficie wodą mineralną, bardzo skuteczną w wielu chorobach, klimat jest miły, zwłaszcza w tym roku, ponieważ mamy na przemian pogodę i słotę, co usposabia kuracjuszów, którzy całemi dniami przechadzają się po prześlicznym parku, i robią wycieczki do miejsc uroczych jak: na Kopciową, na Jaworzynę, do Tylicza lub Bardjowa.

Wszystko to byłoby tem milszem dla kuracjuszów, gdyby nie jedno—ale. To „ale" jest przykre — zwłaszcza dla osób słabych i nerwowych, bo w tym roku (według opowiadania miejscowych mieszkańców) po raz pierwszy zjechała tu taka falanga synów Izraela, że to chyba dobrze na zdrowie kuracjuszów wpłynąć nie może. Proszę sobie bowiem wyobrazić ludzi, których ubranie pozostawia wiele do życzenia, a jeszcze do tego ludzi rozbierających się prawie zupełnie, by potem kłaść się „dla komocji" na trawnikach lub ławkach, co musi być przykrem dla ludzi nieprzyzwyczajonych do takiego widoku. Co prawda mógłby tu poradzić szanowny Zarząd, ale gdy się zważy, że ten Zarząd jest prawie wyłącznie w ręku pana radcy Sokołowskiego, który biega całemi dniami i radby utrzymać porządek, ale mając do pomocy tylko 4 (mówię wyraźnie czterech) niby policjantów, bo są to najemnicy tylko, na lato, nie może sobie dać rady, zwłaszcza, że żydzi są tak impertynencko-aroganccy, iż grożą na każdym kroku skargą do ministerjum. To też wszyscy goście wzdychają i przypominają sobie dawniejsze czasy, kiedyto w Krynicy był komisarz z namiestnictwa i miał sobie danych do dyspozycji żandarmów, którzyby potrafili te falangi czerni powstrzymać w należytych karbach. Słowem przykre to i bolesne, że rząd, który dba o Krynicę i stara się o jej rozwój nie zapewni kuracjuszom spokoju, ani bezpieczeństwa przed brutalnością żydowską, która czasami nadużywa cierpliwości gości chrześcijańskich.

Ale przejdźmy do rzeczy innych.

Mamy tu prócz dawnej kaplicy w parku, nasz kościół zaprojektowany przez znanego w Krakowie architektę p. Zawieyskiego. Ładny kościółek w stylu renesansu, ale prócz wieżyczek i krzyża na nim, nie ma charakteru kościoła, albowiem — jak się tu powszechnie śmieją, mógłby być zamieniony równie dobrze na bożnicę, zwłaszcza, że cały kościół otoczony jest hotelami i szynkami żydowskiemi, skąd dochodzące hałasy często przeszkadzają w nabożeństwie. A mieliśmy tu niedawno missje, które były upragnionym pokarmem zarówno dla gości jak i dla ludności miejscowej, bo Krynica należy do parafji w Muszynie t. j. $1^1/_2$ prawie mili odległości i rzadko widzi księdza u siebie. Muzyką w tym roku kieruje jak zawsze p. dyrektor Wroński z Kołomyi. Muzyka byłaby dobrą, gdyby częściej odbywała próby, bo zdarza się nieraz, że każdy grajek gra według swego tempa, tem więcej, że wśród nich mamy bardzo wiele 77-milimetrowych nosów, skąd pochodzi, że oni radziby grać wszystko w tempie majufesów żydowskich.

Żywimy jednak nadzieję, że p. Wroński, znany ze swej energji, na przyszły rok lepiej skompletuje swą orkiestrę, lub zaangażuje sobie grajków z Harmonji krakowskiej lub lwowskiej, gdzie przecież są siły dobre.

Przyjemności prócz tego mamy podostatkiem, bo afisze prawie co dnia oznajmiają jakąś nowość.

I tak, był koncert „chóru akademickiego", który miał występować pod batutą p. dyr. Barabasza, jak afisze ogłosiły, tymczasem na czele jego stanął p. Świerzyński. Żal nam było, że do dyrygenta, który cieszy się powodzeniem na bruku krakowskim, nie dostosował się chór, ponieważ za słabe były siły w stosunku do utworów wykonywanych, ale to miało się stać skutkiem niespodzianej dekompletacji chóru. — Następnie popisywała się tu orkiestra „Kolonji wakacyjnych" ze Lwowa. Dzielna to orkiestra i widocznie pod dobrem kierownictwem, skoro wszystkie wykonywane utwory wypadły czysto i należycie, a choć były drobne usterki, to musimy być względni, z uwagi, że tych usterek było mało i że siły są młode. To też publiczność zebrana na koncercie (choć jej było bardzo mało, bo około 30 osób) serdecznie i szczerze oklaskiwała malców, zachęcając ich tem do dalszej pracy. Szkoda tylko, że publiczność tutejsza okazała taką abstynencję dla malców, którzy podjęli tę pracę, by pomnożyć dochody Kolonji rymanowskiej. — Osobliwszem również zjawiskiem na horyzoncie Krynicy, była piękna myśl dzieci tutejszych kuracjuszów, które, pragnąc pomnożyć kwotę na ukończenie tutejszego kościoła i na bibljotekę ludową, 3 b. m. dały przedstawienie w teatrze. Bardzo to ładnie wyglądało, kiedy dzieci w wieku od 10—15 lat podjęły się tego trudnego zadania, i — wywiązały się z podjętego wcale poprawnie; to też publiczność cieszyła się bardzo i obsypywała małych naszych milusińskich bukietami. Szkoda tylko, że koszta teatralne były tak wielkie, iż dochód czysty przyniósł zaledwie 41 zł. — Prócz tego mieliśmy loterję fantową na zapłacenie organów w kościele, urządzoną przez panią Chylińską z Krakowa, która była duszą całego komitetu, to też zebrała się doborowa publiczność (bo żydki słuchali muzyki i patrzali się z za ogrodzenia) i wsparła zabiegi komitetu, bo po rozlosowaniu fantów, zwracano je na licytację i skutkiem tego dochód przekroczył 800 złr. — Wreszcie mieliśmy koncert pp. Friemana i Hoffmana, znanego w Krakowie, a cały szereg koncertów już się przygotowuje. Nawet sławny polski deklamator p. Konopka już do nas zawitał. — A zatem byłoby tu w Krynicy bardzo wesoło i przyjemnie, gdyby nie to straszne widmo żydowskie, które stara się zewsząd wyprzeć katolików (goimów), bo żydzi tylko są dziś panami i arystokracją i im wszystko wolno, „ponieważ — jak mówią — nas tu duzio więcej niż goimów, to niech oni sze nam ustąpią" — ładne czasy, nieprawdaż?

Lichwiarze żydowscy.

Obraz z życia napisał

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy).

Kto widział jak rzetelnie rozliczali się ci żydzi po rozwiązaniu spółki i z jaką dokładnością przestrzegali terminów, ilekroć pożyczali sobie pieniądzy na prostą kartkę lub żywe słowo, ten nie mógł się dość nadziwić, że społeczeństwo, wśród którego żyją, nie nauczyło się od nich choć w cząści tej cnoty i nie wyrobiło w sobie kupieckiej słowności, bez której o handlu i przemyśle nawet marzyć nie można.

Nietylko właścicielom, posiadającym dobra ziemskie, domy albo fabryki; nietylko kupcom mającym towary; nietylko urzędnikom i wojskowym utrzymującym się ze stałej pensji Goldstock pożyczał: — on dawał także „na głowę", „na charakter", a nawet „na urodę".

— On ma dobrą głowę, więc sobie da radę", mawiał o pierwszym. — „On jest człowiekiem uczciwym, to też prędzej lub później wszystko mi odda" — twierdził o drugim. — „Przystojny chłopiec, dobrze się ożeni" — wyrokował o trzecim. W stosunku do tych, Goldstock nie był zatem lichwiarzem, lecz filantropem, bo na takie hipoteki żaden bank nie pożycza... Zdrowie swoich dłużników, zwłaszcza tych, którzy nie posiadali nieruchomych majątków, cenił wyżej, niż własne. Bolała którego głowa, radził mu, by się nie martwił i na cały dzień do łóżka się położył, i żeby często brał coś na poty; spotkał drugiego w lekkiem ubraniu w dzień dżdżysty a zimny, błagał na wszystko, by co prędzej wrócił do domu po paletot; poskarżył mu się trzeci, że nie ma pieniędzy na lekarza, pożyczał mu zaraz kilka guldenów „na słowo" i sam mu lekarza przysyłał. Na świecie żyją jednak istoty, którym Goldstock nie pożyczyłby nigdy ani guldena — a temi są kobiety. On tak jest „delikatny i nerwowy", że nie może znieść widoku osób delikatnych i nerwowych; ja jednak sądzę, że powodu jego niechęci do kobiet gdzieindziej trzebaby szukać. Kobiety są zwykle bardzo oszczędne i nieskłonne do płacenia wysokich odsetków, więc interes z niemi byłby dlań niemożliwym do przeprowadzenia. On płeć piękną bardzo szanuje, ale kocha tylko płeć brzydką.

Ilekroć zgłosił się doń jaki nieznajomy po pieniądze, prosił go zawsze, by poczekał do dnia następnego, lub przynajmniej do popołudnia. Nieznajomy rad nie rad, musiał się zgodzić, a Goldstock zasięgał tymczasem języka i bądź dawał, bądź grzecznie odpowiadał: — Przepraszam, ale nie mogłem odebrać. — Nie zdarzyło się atoli nigdy, by odprawił kogo słowami: — Nie dam, bo nie chcę — albo — boję się dać, bo po panu nie ufam.

Już czterdzieści lat Goldstock na lichwę pożycza, a mimo to do dnia dzisiejszego sam nikogo nie ścigał sądownie. Gdy ma złego dłużnika, odwidza go z początku raz na miesiąc; potem co tydzień, nakóniec co dzień, nawet dwa, i trzy razy na dzień. Gdy to nie pomoże, uważa pieniądze za stracone, ponieważ, według jego przekonania, z człowiekiem, który do ostatka wytrzymał jego prześladowanie, nawet sam sąd nie poradzi.

Rzadki wyjątek stanowią tylko tacy, którzy nie chcą płacić, mimo, że coś posiadają. Wiedząc, że kołatanie do ich serc zatwardziałych na nic się nie przydaje, Goldstock odstępuje ich weksle niejakiemu panu Fitkerowi, a dopiero ten rozpoczyna kroki sądowe. Tak więc Goldstock może zawsze powiedzieć:

— Ja pana nie skarżył, ja pański przyjaciel, ale ten Fitker wszystkiego narobił. Potrzebując pieniędzy, pożyczyłem od niego na pański weksel, potem nie miałem czem wykupić, i tak stała się nieprzyjemność. Ale ja nie winien, ja pański przyjaciel!...

Ilekroć widzi interes niejasny, mogący zaprowadzić obie strony przed kratki sądowe, nigdy go sam nie robi. Wtedy podstawia zawsze tego samego Fitkera, który za połowę zysku przyjmuje odpowiedzialność za następstwa. Fitkera posyła także do takich klijentów, od których sam nie ma odwagi żądać zbyt wygórowanych odsetków.

Czy Goldstock zrobił kiedy zły interes? O tem nikt na świecie jeszcze się nie dowiedział. Zły interes, to hańba dla żyda, za którą idzie w gminie brak zaufania i kredytu. Na taką śmierć moralną Goldstock nie może się narazić, więc też ani się nie chwali dobremi interesami, ani na złe uskarża.

Są jednak straty, o których często wspomina. Jeżeli obliczy, że powinien zarobić 100, a zarobi tylko 50, wtedy głośno narzeka, że stracił 50. Współwyznawcy jego z głębokiem skupieniem ducha słuchają wynurzeń Goldstocka, bo każdy z nich chciałby jak najczęściej takie straty ponosić.

Na ulicy klijentom nigdy się nie kłania, aby ich nie kompromitować; lecz na tydzień przed terminem, kapelusz szybko zdejmuje, bo wtedy ten ukłon znaczy, że termin się zbliża... Gdy dłużnik go unika, przechodzi mu często w poprzek drogę od przodu, jeżeli się w domu zamyka, stoi w bramie sześć godzin z rzędu, bawiąc się widokiem przechodniów; ale, gdy i to nie pomoże, i klijent wymknie mu się po za plecyma w ulicę, Goldstock bierze go na oko, i chodzi za nim po całem mieście, wyczekując pod każdą kamienicą, do której wstąpi, póki go nie schwyci gdzie w sieni, lub w cieniu pod murem. Jeżeli czasem przechodnie zasłonią zwierzynę — przerażony biegnie na środek ulicy, szukając jej zwrokiem, albo przechodzi na drugi trotoar, aby stamtąd bezpieczniej śledzić poruszenia uciekającego.

Goldstock nie lubi wiele mówić — za to słucha z prawdziwą przyjemnością. Ze sposobu, jak się klijent wysławia, odgaduje, czy mówiący bardzo potrzebuje, czy nie, czy mówi szczerze, czy okłamuje, czy zapłaci mniejszy, czy większy procent, czy jest rzetelnym, czy niesłownym. On słucha i patrzy, cały swój spryt w jednym kierunku skupiając, a że każdą zdolność można w sobie niepospolicie wyrobić, jeźli jej jednej człowiek poświęca całą uwagę, więc dziwić się nie można, że spryt potrzebny do poznawania ludzi Goldstocka nigdy nie zawodzi. On każdego na wskroś przejrzy, a że Polacy są z natury bardzo otwarci, więc też żydzi wyzyskują ich na każdym kroku.

Goldstock jest bardzo oszczędnym. W jednem ubraniu chodzi bez przerwy lat kilka, a na wyżywienie siebie i całej rodziny, nie wydaje dziennie nawet guldena. Zbytkami są dlań tylko łaźnia i szabas, których wyprzeć się nie może, bo mu religja obadwa nakazała.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Część urzędowa.

Mianowania. Minister spraw wewnętrznych powołał starszego inżyniera, Romana Ingardena, z Krakowa do służby w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Przeniesienia. Namiestnik przeniósł adjunktów budownictwa: Władysława Sroczyńskiego z Brzeżan do Niska, Szymona Faustyna Pruszyńskiego z Niska do Krakowa, a praktykanta budownictwa Barucha Marka Zangena ze Lwowa do Brzeżan.

Konkursy. Ogłoszono konkursy, celem obsadzenia posad asystentów przy katedrach budowy maszyn, chemji ogólnej i budownictwa wodnego w Szkole politechnicznej we Lwowie.

(*Gazeta lwowska* nr 186)

FEJLETON.

JAN WILK

192 POWIEŚĆ

Emila Richebourg'a.

(Ciąg dalszy).

— Dzięki Bogu! Ale Henrysia uciekła z ojca pałacu — rzekła Zuzia.

— I o tem mi doniesiono. Brat jej przypuszczał, że pobiegła rzucić się do Sekwany — odpowiedział hr. de Violaine.

— Tak, tak, tatku kochany.

Hrabia drgnął.

— Margrabia z synem i Landry z Raulem szukali jej nadaremnie do dnia białego, po obu brzegach rzeki. Nie ma tam po niej ani śladu! Nie wiedzą, co się stało z nieszczęsną!

— Ale ja wiem, tateczku.

— Ty?

— Henrysia znajduje się w tej chwili w pokoju ojca Monot, w hotelu Wogezów.

Hrabia zwrócił się szybko ku starcowi.

— I z tem tak się przedemną taiłeś?

— Jest bo jeszcze i coś więcej..... — bąknął Monot.

— No! no! zostawiam cię z twemi konszachtami i sekretami, uparciuchu! — roześmiał się hrabia — a sam biegnę pocieszyć zrozpaczonego.

— O kim mówisz, tatku?

— O Janie de Chamarande.

— Jest tu?

— U mnie w pokoju.

— Och! powiedz mu, tatusiu, jak najprędzej, że Henrysia znalazła się szczęśliwie.

Pan de Violaine poszedł na pierwsze piętro.

— Mamy kwadrans czasu, ojcze Monot — powiedziała Zuzia, wskazując miejsce naprzeciw siebie starcowi. — Siadaj i opowiadaj, co wiesz.

La Bique usiadł w fotelu i tak zaczął.

XXXIII.

W jaki sposób La Bique odegrał rolę Opatrzności.

— Gdy gbur odźwierny zamknął mi impertynencko drzwi przed nosem, odszedłem wolnym krokiem, przyglądając się tu i owdzie Paryżowi. Piękne bo to miasto i wspaniałe, czy w dzień, czy w nocy. Tak idąc krok za krokiem, zaszedłem aż za rogatkę. Głodny i strudzony, usiadłem w jakiejś ogródkowej restauracji i posiliłem się należycie... Chciałem wziąć napowrót dorożkę, ale noc była taka pogodna, że wolałem iść pieszo. Na niebie lśniły gwiazdy, a na placach i ulicach migotały również światełka różnobarwne, niby robaczki świętojańskie. Porównywałem idąc, ruch i gwar wielkiego miasta, nawet w nocy, z naszą wiecznie cichą wsią. Wspaniałe ekwipaże, ciągnione przez ogniste rumaki, z naszemi wozami drabiniastemi, przy których wloką się chude szkapięta, ledwie mogące podnosić od ziemi nogi sztywne i strudzone w bronach... Przeszedłem po pod pałac barona. Cicho tam było, ale niektóre okna na dole i na pierwszem piętrze były jeszcze oświetlone. Szedłem dalej zwolna. Na końcu alei Pól Elizejskich uczułem wielkie zmęczenie i usiadłem na ławeczce... W tej chwili zwróciła na siebie moją uwagę jakaś wysmukła postać kobieca, biegnąca aleją, jak szalona. Otarła się prawie o mnie; ale ona nie widziała mnie z pewnością. Jakież było moje zdumienie, gdym w świetle latarni poznał pannę Henrysię.... Popędziłem w tropy za nią. Moje stare nogi nie byłyby jej z pewnością dopędziły, gdyby nie była się zatrzymała na chwilę, oglądając się w około i orjentując się, którędy iść. Zawołałem na nią po imieniu. Chociaż tak wzburzona i pomięszana, poznała mnie natychmiast.

— Ty tu, tu, ojcze Monot?!

— Do usług panienki... ja sam...

Poznałem na pierwszy rzut oka, że nie wyglądała naturalnie. Patrzyła na mnie z przerażeniem, wzrokiem szklanym i błędnym, a trzęsła się, jakby w mróz najtęższy.

— W której stronie płynie Sekwana? — spytała głucho.

— A panience na co Sekwany? — odrzuciłem.

— Potrzebuję wiedzieć, którędy iść do niej!

— Z jakiej przyczyny?

— Aby w jej nurtach zginąć!

Domyśliłem się od razu, co strzeliło do tej główki zrozpaczonej. Ująłem ją pod ramię, poprowadziłem ku ławce i posadziłem obok siebie. Wtedy zacząłem jej ciągć długą perorę. Nie wiem już dobrze, com jej naplótł..... o jej biednej matce, o Vaucourt, nawet i o tobie, hrabianeczko, dość, że w końcu zaczęła łkać żałośnie. Bądź co bądź, moje kazanie wywołało wrażenie kolosalne. Gdy wypłakało się biedactwo do syta, chciałem ją odprowadzić napowrót do pałacu Simaise.

— Tylko tam nie! — krzyknęła.

Zaczęła trząść się na nowo i próbowała wyrwać mi rękę. Na szczęście trzymałem ją mocno i nie puściłem.

— Gdzież panienka chce, żebym ją odprowadził? — spytałem po chwili.

— Nie wiem sama...

— Mama panienki mieszka u hrabiego de Violaine. Znam drogę do tego pałacu. Stąd nie bardzo daleko. Zawiozę tam panienkę, do jej mamy i do dobrej przyjaciółeczki, panny Zuzi.

— Nie, nie chcę — rzekła sucho i stanowczo.

Nie wiedziałem naprawdę, co dalej mówić i co z nią zrobić o tak późnej godzinie. Byłem w kłopocie nielada, wierz mi, kochana panienko. Nareszcie przyszła mi myśl zbawienna.

— Możebyś, panno Henrysiu, do mnie tymczasem zajechała? — bąknąłem od niechcenia.

— Do ciebie, ojcze Monot?

— No tak, do mego pokoju, który wynająłem w hotelu.

Wstała.

— Jedźmy! — rzekła krótko.

Ująłem ją pod ramię i tak szliśmy kawałek. Czułem jednak, że się słania i prawie omdlewa z osłabienia. Doróżka przejeżdżała. Zatrzymałem ją.

— Gdzie mam jechać? — spytał.

— Bulwar Magenta, hotel Wogezów.

— Dobrze, obywatelu! Jazda!

Wsiedliśmy do doróżki i w kwadrans byliśmy w moim pokoiku... Panna Henrysia nie zagadała do mnie ani razu przez całą drogę. Za to mruczała ciągle sama do siebie, jak ktoś, majaczący w gorączce. Dowiedziałem się wtedy pomimowolnie o małej części strasznych wypadków, które się przydarzyły tej nocy fatalnej. Gdyśmy znaleźli się sam na sam w pokoju, wydała mi się cokolwiek spokojniejszą. Oczy miała przytomniejsze, nie tak pałające i obłąkane.... Była tylko jeszcze strasznie blada i smutna..... smutna!... rozpacz wcielona! Usta były gorączką spalone, w gardle jej wyschło zupełnie. Dałem jej się napić wody z cukrem. Piła powoli, ale z widocznem zadowoleniem... Siedzieliśmy tak dobrą chwilę w milczeniu, ja, co prawda, zmięszany i zakłopotany, ona widocznie dumając nad jakimś nowym zamiarem.

— Skąd się wziąłeś w Paryżu, ojcze Monot? — spytała mnie nagle głosem szorstkim, jakiegom nigdy wpierw u niej nie słyszał.

Opowiedziałem jej szczerze, co mnie sprowadziło do stolicy.

— Kiedy wracasz do Blaincourt?

— Chciałem opuścić Paryż jutro zrana.

— Dlaczego odkładasz swój odjazd?

— Z powodu, żem ciebie znalazł, moja złota panno Henrysiu.

— Otóż dla mnie właśnie, ojcze Monot, musisz odjechać jak najprędzej pierwszym, rannym pociągiem.

Nie zrozumiałem. Dodała po chwili:

— Zabierzesz mnie ze sobą.

— Panienkę?

— Tak, ojcze Monot — odrzuciła rezolutnie.

— Do Vaucourt? Kiedyż bo tam nie ma pani baronowej!

— Ja nie myślę wcale o Vaucourt.

— A dokądże panienka chce jechać?

— Do Epinal, gdzie mnie zostawisz.

— Cóż tam panienka zamierza zrobić?

— Wstąpię do nowicjatu Panien Wizytek. One przytulą nieszczęśliwą. W murach klasztornych znajdę schronienie i cichą ostoję.... grób za życia!...

Teraz byłem pewny, że na dobre oszalała.. Mówiła dalej gorączkowo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Kraków, 17 sierpnia.

Kalendarz kościelny. Dziś Anastazego biskupa i Mirona męczennika, jutro Heleny, królowej szwedzkiej, pojutrze Benigny panny i Sebalda wyznawcy.

Jutro w kościele Bożego Ciała na Kazimierzu odpust bractwa „Pięciu ran Pana Jezusa", z wystawieniem Najświętszego Sakramentu od godz. 6 rano do 12 w południe i od 3 po południu.

Kalendarz myśliwski. W sierpniu wolno polować na jelenie, kozły (rogacze), przepiórki, dzikie gołębie, dropie i pardwy, oraz na ptactwo błotne i wodne w ogólności.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczyna się dziś o godz. 4 minut 33, zachód przypada o godzinie 6 minut 52; długość dnia godzin 14 minut 19.

Temperat ura rano + 12 C

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Pamiętajmy o gimnazjum polskiem w Cieszynie!

Na gimnazjum polskie w Cieszynie złożyła na nasze ręce 1 złr. firma tutejsza Kielanowski i Lipiński „Chrześcijański tani Bazar" przy ulicy Szewskiej.

Z powodu rocznicy urodzin cesarza odbędzie się w niedzielę w katedrze na Wawelu uroczyste nabożeństwo. Dziś zaś jako w przeddzień urodzin cesarskich, o godzinie 8 wieczorem, przed główną wartą w Rynku muzyki wojskowe odegrają hymn państwowy, poczem przygrywać będą po ulicach miasta.

P. Kolosvary, dyrektor kolei państwowych, wyjechał z Krakowa za sześciotygodniowym urlopem.

Grono turystów francuskich, w podróży do Rosji, zatrzymało się w naszym grodzie, celem zwidzenia zabytków przeszłości i dzieł Sztuki. Podróżni obejrzą przy tej sposobności i Saliny wielickie.

Opera. W miejsce zapowiedzianego na jutro „Balu maskowego", artyści opery odśpiewają „Trubadura" z pp. Kruszelnicką i Schlaffenbergiem. W poniedziałek impreza daje nadzwyczajne przedstawienie na dochod chóru z urozmaiconym programem, w którym udział wezmą wszystkie siły opery tutejszej. Program składa się z pięciu części: 1) „Pajace" Prolog (p. Górski), 2) Łucja z Lamermooru" Donizettego, scena obłąkania z 3 aktu (p. Camilowa i chór), 3) „Halka" arja „Szumią jodły" (p. Warmuth), 4) „Mignon" romans z 1 aktu (p. Hellerówna) i 5) „Cavalerja rusticana" według ostatniej obsady. Prócz „Afrykanki", która dziś wieczór po raz pierwszy zabrzmi w Krakowie, personal operowy przy wzmocnionych chórach zajęty jest próbami zbiorowemi z Wagnerowskiego „Lohengrina". Próby jeneralne z tej opery od jutra odbywać się będą codziennie aż do pierwszego przedstawienia.

Teatr letni wystawi w tych dniach głośną farsę wiedeńską ze śpiewami pt.: „Małżeństwo na próbę" autora „Biednej dziewczyny".

Jesienne wyścigi konne Klubu jazdy panów z wielką nagrodą 6000 koron, oprócz mnóstwa innych nagród odbędą się na torze krakowskim w dniu 4 i 6 października.

Dla dogodności osób, grających w „totalizatora", dyrekcja wyścigowa zarządziła posunięcie budynku „totalizatora" przeszło o 30 metrów bliżej mety, tak, że prawie dotykać będzie drugiej trybuny. Przez to zyska miejsce t. zw. drugie, które tym sposobem o tyle będzie bliższem mety.

Przygoda b. ministra Bacquehema. *Gazeta narodowa* donosi: W jaki sposób podróżni szykanowani są na granicy rosyjskiej przez tamtejsze władze przekonał się niedawno temu sam na sobie b. minister Bacquehem. Bawiąc w dobrach p. Fedorowicza pod Podwołoczyskami, markiz Bacquehem zaopatrzywszy się w legalny pasport wybrał się na wycieczkę po za granicę rosyjską do Satanowa, aby obejrzeć tamtejszy kościółek. W Podwołoczyskach dwóch żandarmów zażądało od m. Bacquehema okazania pasportu. Pasport ten widocznie nie podobał się żandarmom, gdyż wzięli m. Bacquehema pomiędzy siebie i zaprowadzili go do swego przełożonego. W biurze zrewidowano dokładnie m. Bacquehema, odebrano mu wszystko, co przy nim znaleziono i poddano go szczegółowemu badaniu: Kim jest? Skąd pochodzi? Czego chce i t. d. Nareszcie po półtoragodzinnem badaniu zwrócono m. Bacquehemowi jego efekta i pozwolono mu oglądnąć kościółek w sąsiednim Sa-

tanowie. Ale władze nie były zupełnie pewne osoby m. Bacquehema, bo dodały mu dwóch żandarmów, którzy ciągle towarzyszyli m. Bacquehemowi i nie spuszczali go z oka ani na chwilę. Pół godziny oglądał m. Bacquehem Satanów, a potem co rychlej powrócił w granice austrjackie.

Wypadek. W Kilonji onegdaj w południe zawalił się pomost właśnie w chwili, kiedy robotnicy pracujący przy warstacie „Germanji" przechodzili z torpedowca „Jäger" na ląd. Znajdujący się wówczas na moście robotnicy wpadli do wody. Dotychczas stwierdzono, iż wypadek został przez to spowodowany, że robotnicy w czasie pauzy obiadowej zbyt licznie cisnęli się na pomost. Do wieczora wydobyto 12 zwłok; byli to po większej części ojcowie rodzin.

Kopja obrazu M. B. Częstochowskiej, wystawiona w oknie u p. Fenza, została zamówioną w tutejszym zakładzie haftów Marji Kominkowskiej do Ameryki. Obraz ten, wysokości 130 ctm., szerokości 84 ctm., jest wiernie naśladowany podług cudami słynącego oryginału na Jasnej Górze; zdobi go suknia perłowa, wysadzana kamieniami imitacyjnemi; piękne hafty wykonano we wspomnianej pracowni haftów i robót kościelnych, korony wyszły z zakładu pp. Jarry i Jakubowskiego. Pierwszy to obraz tego rodzaju, który przewieziony zostanie za Ocean, zamówiony przez naszych rodaków i ks. Andrzeja Łojka w mieście Me Keesport Pa w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, do głównego ołtarza w kościele pod wezwaniem „Matki Boskiej Częstochowskiej. Koszta obrazu, jak nas objaśniono, nie przechodzą 600 złr. Przed obrazem tym w oknie handlu p. Fenza, przez cały dzień zatrzymują się tłumy ludzi.

Opera. Ostatnie przedstawienie „Fausta" nie zapełniło już teatru publicznością, gdyż kilka lóż i część foteli w parterze jak i na balkonie pierwszego piętra świeciło pustkami.

Zapowiedź zimy lub wojny. Wczoraj rano, nad miastem, przeleciało ku wschodowi kilka tysięcy bocianów. Tak wielkiej chmary u nas jeszcze nie widziano. Bociany leciały dość nizko. Widocznie musi być w górze bardzo chłodno. Tak wczesny odlot ptaków, jest zapowiedzią albo zbyt wczesnej zimy, albo... wojny, bociany bowiem, jak lud twierdzi, są bardzo dobrymi politykami i ilekroć przewidują wojnę, z całą przezornością wynoszą się z miejsc niebezpiecznych.

Usiłowane skrytobójstwo. We czwartek 15-go b. m., około godziny 8-mej wieczorem, służąca w domu pod l. 60 przy ulicy Grodzkiej, Teresa Łukasik, w chwili kiedy z karafką szła po wodę do studni, otrzymała 4 strzały w lewą stronę piersi a zaś piąty strzał w sam środek piersi. Łukasik miała jeszcze tyle siły, że z wodą pobiegła do mieszkania, poczem osłabła. Ciężko ranną, opatrzył na miejscu dr Schaitter i przywołane pogotowie ratunkowe, które chorą z pięcioma ranami i tkwiącemi w piersi kulami odwiozło do szpitala św. Łazarza. Mordercę, w osobie Wincentego Wojewody, żołnierza artylerji, przytrzymał inny żołnierz w ulicy Grodzkiej. Wojewoda powodowany zazdrością o Łukasikównę, z którą się znał od jakiegoś już czasu, groził jej, że ją i siebie zabije i groźbę swoją istotnie wykonał, gdyż poczęstowawszy Łukasikównę aż pięcioma kulami, dla siebie zostawił jeden nabój, którym się jednak tylko nieznacznie zranił. Łukasikówna żyje jeszcze.

Wypadki. Wczoraj rano tramwaj na ulicy Grodzkiej najechał na niejaką Barbarę Czakównę, głuchą staruszkę, która nie słysząc gwizdawki woźnicy, chciała przejść w poprzek ulicy; w pośpiechu upadła tuż przy chodniku, prawa noga wszakże została jeszcze na szynie. Koła tramwaju urwały jej piętę. — W środę rano Jakób Madruła, chłopiec blacharski, pracując na dachu domu piętrowego przy ulicy Florjańskiej, spadł z wysokości I, piętra przyczem złamał sobie ramię u lewej ręki. — W nocy ze środy na czwartek, dwaj nie znani mężczyźni napadli nocą w ulicy św. Jana szewca p. Bazarnika, któremu zadali dwie cięte rany w głowę. — We wszystkich tych wypadkach pomoc i opatrunek niosło pogotowie ratunkowe.

Ciekawe widowisko. Dziwimy się jak nieraz wielki wóz zaczepi o jadącego obok fjakra, jak fjakier niespodzianie zetrze się z wózkiem piekarza, gdy tymczasem wśród białego dnia, na szerokim trotoarze może zetknąć się przypadkowo dwóch ludzi. Tak się stało wczoraj na ulicy Gertrudy, podczas nawalnego deszczu. Dwóch panów zawadziło się parasolami. Pan Z. ogromnie się tem oburzył, pan K. chciał się usprawiedliwić. To spowodowało przemówienie się dość ostre, a ponieważ deszcz lał jak z cebra, przeto niepodobna walczyć z odkrytą przyłbicą, starli się więc parasolami. Gięły się one, pochylały, parły i wreszcie pękły rączki, a nawet parasol pana Z. uniesiony wiatrem poszedł w górę; pobiegł więc za nim wściekły z gniewu: natomiast pan K. zdołał wprawdzie utrzymać resztki swojego, ale wrócił do domu przemókłszy do nitki!

O wiązkę trawy. Ze Szczakowy otrzymujemy list następujący: „Przez wiązkę trawy postradała życie w Jaworznie 25-letnia Konstancja z Purchałków Grzybkowa. Mianowicie w sobotę dnia 10 b. m. udała się w towarzystwie swej krewnej na póla poblizkie celem uzbierania trawy zwykłej polnej dla trzody chlewnej, a nie mogąc przez linję ogniową odbywających się za pagórkiem ćwiczeń wojskowych, zdążyć do własnej roli, poczęły skubać trawsko na innem polu. Tymczasem nadszedł właściciel i spędził co rychlej kobiety z roli lecz, o zgrozo, z takim skutkiem, iż wyżej wspomniana kobieta postradała życie, gdyż ją znaleziono po długich szukaniach martwą w ziemniakach, drugą zaś tenże właściciel odebrawszy jej kosz i chustę obił i puścił z płaczem do domu. Rodzina zmarłej, licznie w Jaworznie reprezentowana, właśnie czyni starania o sądowe zbadanie przyczyny śmierci, ponieważ dotąd to nie nastąpiło, pomimo iż zwłoki kazano złożyć do grobu. Zmarła osierociła troje drobnych dziatek. Mąż w rozpaczy. *Wincenty Grzybek* w Pieczyskach ad Szczakowa."

Zjazd koleżeński w Tarnowie. Z Tarnowa nam piszą: Zjazd maturzystów po 25 latach, to niezwykła uroczystość. To też z ochotą i skwapliwie pospieszyli uczestnicy tegorocznego zjazdu do Tarnowa, aby uścisnąć dłoń koleżeńską po wieloletniem niewidzeniu się. Młodzieńcy stali się dojrzałymi mężami, niemal osiwiałymi w pracy i znoju. Z 32 abiturjentów w r. 1870 legło w walce życia 11, stanęło do apelu 17, obowiązki zawodu wstrzymały 4 od udziału w zjeździe. Do grona byłych abiturjentów przyłączyło się trzech profesorów, których serdecznie powitali wdzięczni uczniowie. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w katedrze, które czterech kolegów celebrowało. Następnie udali się uczestnicy do gimnazjum i zasiedli w ławkach 8 klasy, a jeden z profesorów odczytał katalog z r. 1870 celem skonstatowania absencji. Po zdjęciu fotograficznem grupy kolegów wraz z profesorami, odbył się wspólny objad, w czasie którego wnoszono toasty na cześć kochanych profesorów i kolegów, oraz ich żon i dzieci, odczytano listy i telegramy z życzeniami od nieobecnych, wreszcie, na zaproszenie obecnego dyrektora gimnazjum tarnowskiego, postanowiono w r. 1900 ponowić zjazd koleżeński, na który mają przybyć uczestnicy w gronie swych żon i dzieci. Cały obchód odznaczał się nastrojem serdecznym i koleżeńskim; to też z żalem żegnano się, lecz zarazem z błogą nadzieją „do widzenia po 5 latach!" Grono uczestników składało się z 6 księży, 4 sędziów, 3 profesorów gimnazjalnych, 2 lekarzy, 1 adwokata i notarjusza.

Z pod Zborowa piszą: U nas Brazylja od pewnego czasu grasuje na dobre. Ze wsi Monitówka wyjechało dziesięć rodzin, a teraz wybiera się kilka razy więcej z Kudynowiec. Przyczyną tej skwapliwości w wynoszeniu się za ocean jest, prócz agitacji rozmaitych ajentur emigracyjnych, także nędza. Wszystką bowiem oziminę zjadły myszy, a 8 b. m. silny grad wytłukł do szczętu pola i ogrody w Kudynowcach, Beremowcach, Monitówce i w innych wsiach, objętych teraz najsilniejszą gorączką wychodźczą.

Z nad Prutu. Piszą z Worochty. Urocza dolina Prutu w niedzielę i dnie świąteczne zaludnia się tysiącem ludzi pragnących odetchnąć świeżem powietrzem, nasycić się widokiem prześlicznej okolicy, odwidzić wreszcie swych znajomych lub krewnych, osiadłych na lato w Dorze i Jeremczu. Co niedzieli i święta osobne pociągi wiozą do Jaremczy i Worochty setki osób, które po rozkosznie spędzonym dniu wracają wieczorem do Stanisławowa. Dnia 11 bm. odbyła się wycieczka robotników warstatowych kolei państwowych w Stanisławowie do Worochty. Osobnym pociągiem wyjechało rano ze Stanisławowa 782 osób. W osobnym wozie umieszczono muzykę robotników warstatowych, która w sile 38 ludzi przygrywała całą drogę pod kierownictwem kapelmistrza, melodje narodowe, a oklaskiwano ją z entuzjazmem za marsz Sokołów. Na dworcu w Jaremczu, setki letników i gości z okolicy oczekiwały na przybycie pociągu wycieczkowego. Po półgodzinnym odpoczynku ruszono do Worochty, którą wybrano na miejsce zabawy. Osobny wóz zaopatrzony w lód, przywiózł uczestnikom wycieczki obfity podwieczorek, po którym w imieniu robotników przemawiał rewizor p. Miecik, dziękując naczelnikowi warstatów insp. Birnbaumowi za troskliwość i zapobiegliwość około rozwoju towarzystwa robotników warstatowych, którego jest prezesem. Po podwieczorku rozpoczęły się tańce na łące i trudno nie wspomnieć o niespodziance, którą urządzono przybyłym z okolic tłumom górali. Muzyka zagrała im ulubioną kołomyjkę a zgrabne hucułki i huculy puścili się w tany. Barwne i malownicze ich stroje na tle prześlicznego krajobrazu zachwycały mieszczuchów aż do chwili, gdy sygnalizowano odejście pociągu z powrotem do Stanisławowa. Wiele osób odbyło część drogi pieszo, by podziwiać prześliczną okolicę i dopiero wieczornym pociągiem wróciło z Jaremcza do Stanisławowa.

Spadek hr. Paryża. Trybunał Sekwany, zarządził publiczną licytację nieruchomego majątku, hrabiego Paryża we Francji i Hiszpanji. W ich liczbie, znajduje się oszacowany na pięć miljonów zamek Eu, tudzież zamek Amboise. Książę d'Aumale, zamierza nabyć te zamki. Postanowił on ofiarować zamek Eu księciu Orleańskiemu.

Wiedeń 13 sierpnia. (List oryginalny *Głosu Narodu*). Przypadkowo spotkałem jednego znajomego, wracającego z Marjenbadu.

— Cóż to za ohydne powietrze jest u was? Trudno oddychać — rzekł do mnie.

— Żartujesz. Wiedeń słynie ze zdrowego klimatu. Mamy pyszne wodociągi, kanalizację.

— Jedź gdzieindziej, a po powrocie, zmienisz zdanie.

Kiwnąłem głową niedowierzająco i na tem się skończyła rozmowa.

W kilka dni później, pojechałem sam do Marjenbadu i zabawiłem 48 godzin. Oddychałem aromatyczną wonią lasów, połykałem pełną piersią powietrze i wreszcie wróciłem do domu. Jakże mi się przedstawił smutnie Wiedeń. Kurz nie do zniesienia, do organizmu dostają się przeróżne miazmaty, a gdy musiałem przechodzić nasze wązkie uliczki, coś mnie przytłaczało, bo zapachy, niemające nic wspólnego z *Fleure de Lys*, lub ekstraktem fijołkowym, dolatywały mnie ze wszystkich stron. Nic więc dziwnego, że piękna stolica nad Dunajem, wygląda obecnie jak miasto umarłych. Kto tylko może, opuszcza spiekłe mury i jedzie szukać wytchnienia w górach, lub miejscach kąpielowych. Pozostają tylko ci, których ciężki obowiązek przykuwa do bruku, to też na przechadzkach wieczornych, spotyka się same twarze blade i anemiczne. Zdjęty ciekawością, zajrzałem do statystyki i z przerażeniem przekonałem się, że 50 % ludzi umiera na suchoty. A więc, ów Wiedeń, pomimo miljonów wydawanych rocznie, na cele hygieniczne, nie jest tak zdrowym, jak głoszą o nim publicznie. Najlepsza kanalizacja i pierwszorzędne wodociągi, wcale nie wpływają na uchronienie od chorób zaraźliwych, a suchoty, owa najgroźniejsza plaga ludzkości, posiadają tutaj ustalony monopol. *Traurig, aber wahr*, jak mówią Niemcy, a ponieważ nic na to nie poradzę, więc przechodzę do porządku dziennego i niech się przyszły burmistrz Lueger, stara o poprawienie stosunków sanitarnych.

Wszystkie tutejsze dzienniki żydowskie, nie posiadają się ze wściekłości, z powodu zamordowania Deutscha w Peszcie i awantury, wyprawionej dwom żydkom przez oficerów, na Kärtnerstrasse. Gdy padnie ofiarą zbrodni jaki chrześcijanin, wspomną o fakcie z obowiązku kronikarskiego, lecz nie starają się wyszukiwać powodów psychicznych. Obecnie, podają całe kolumny i z najdrobniejszemi szczegółami, opisują przebieg obydwóch faktów. *Wiener Allgemeine Zeitung* denuncjuje, że między ofiarami był także pułkownik huzarów, przebrany po cywilnemu. Podaje rysopis i pisze, że nie trudno go będzie odszukać. *Tagblatt* żąda wymiaru surowej kary sądów wojskowych. Inne żydowskie organy, zwykłe zajścia uliczne, podnoszą do zbrodni stanu. Tymczasem obydwa żydki, już są zupełnie zdrowi i dalej zajmują się handlem i grą na giełdzie. Co zaś do zabójstwa w Peszcie, to naturalnie nikt nie będzie bronił mordercy, chociaż ów Deutsch był typem samolubstwa i arogancji. Dorobił się miljonowego majątku, ale ze swymi podwładnymi, obchodził się jak z niewolnikami i przyprowadzał ich do rozpaczy. Nie jest to wyjątek, bo cała rasa semicka, rozwielmożniona na Węgrzech, uważa

się za panów kraju i wyzyskuje swoje położenie. Tak po jednej, jak i po drugiej stronie Litawy, dotąd judofilizm jest górą i chociaż objawia się już silny prąd przeciwny, potrzeba jednak czasu, nim inne zasady humanitarniejsze, staną się fundamentem społeczeństwa.

Tutejsze cztery dzienniki antysemickie, zyskują coraz szersze koło czytelników, szczególniej *Deutsche Zeitung* i *Volks Zeitung*. Obydwa są wybornie redagowane i bronią idei nawet z zaparciem. W porównaniu z rozwielmożnioną prasą hebrajską, rozporządzającą miljonami, jest to dopiero początek, ale ten początek chlubnie świadczy o usiłowaniach, które z pewnością będą uwieńczone skutkiem pomyślnym.

Marszałek dworu księcia bułgarskiego, hr. Bourboulon, wyjechał wczoraj z Wiednia, udając się prosto do Zofji. Cała świta księcia opuściła już naszą stolicę i politycy zwracają baczną uwagę na półwysep Bałkański. Przygotowują się tam bowiem ważne wypadki, mogące jednej chwili zburzyć pokój europejski, tak upragniony przez wszystkie wielkie mocarstwa. Tymczasem małe państewko może wypowiedzieć posłuszeństwo, a jeszcze mniejszy jego władca, zażartować sobie ze wszystkich traktatow. W Bułgarji, tym dzikim kraju, gdzie namiętności rozpasały się, wszystko jest teraz możebnem. *Swój.*

Wiek polskich autorów dramatycznych. *Kurjer Warszawski* przynosi następujące zestawienie wieku naszych pisarzy dla sceny: Najstarszym z żyjących pisarzy polskich jest Karol Brzozowski, autor „Maleka“. Urodzony w r. 1821, liczy lat 74. O parę zaledwie miesięcy młodszym jest Antoni Małecki, autor „Listu żelaznego“. Piewca „Althei“, „Syna gwiazdy“ i laureat „Florindy“ z konkursu warszawskiego z r. 1885, liczy więc lat 70. W tym też wieku jest Kazimierz Kaszewski, znakomity tłumacz Eschylosa i Sofoklesa. Ukrywający się tak starannie przez lat 20 Jordan (Juljan Wieniawski) liczy lat przeszło 60. Adam Asnyk liczy lat 57. Z kolei następuje Ignacy Sewer-Maciejowski i Zygmunt Sarnecki (ur. w Hołodkach w r. 1837). W takim też wieku (lat 58) jest Michał Bałucki. Edward Lubowski liczy lat 56. Wincenty Rapacki lat 55, Bronisław Grabowski lat 54, Stanisław M. Rzętkowski lat 52, Aureli Urbański lat 51 i tyleż Zofja Mellerowa. Znakomitemu autorowi „Quo vadis“ Henrykowi Sienkiewiczowi należy się miejsce między dramaturgami. Napisał dla teatru „Na jedną kartkę“ i utrzymującą się do dziś dnia jednoaktówkę „Czyja wina“. Urodzony w r. 1846, liczy obecnie lat 49. W r. 1847 urodził się Leon Madeyski. Rok 1849 jest datą urodzenia trzech dramaturgów polskich, a to Kazimierza Zalewskiego, Władysława Okońskiego (Aleksander Świętochowski) i Józefa Kościelskiego. Jan Galasiewicz liczy lat 46, a dwa lata odeń starszym jest Daniel Zglińskt. Lat 49 liczy Stanisław Graybner, Juljan Adolf Święcicki lat 45 i tyleż Kazimierz Gliński. Lat 44 liczą Marjan Gawalewicz i Michał Wołowski. W wieku lat 42 jest Leopold Świderski, zaś w r. 1854 urodzili się Teodor Jeske-Choiński, Adolf Abrahamowicz i Ryszard Ruszkowski. Aleksander Mańkowski liczy lat 38, popularny wielce Zygmunt Przybylski lat 39, o rok młodsi są pisarze dramatyczni: Juljan Łętowski i Wład. Gutowski. Z kolei następuje autor „Leny“ Wacław Karczewski. Najmłodszym dramaturgiem jest Stanisław hr. Rzewuski, liczy bowiem lat 31. Alfred Konar jest o dwa lata starszym, liczy lat 33.

Wesoła wojna wybuchła w Głogowie... pomiędzy żydami. W maju umarł tamtejszy rabin, a żydzi głogowscy podzielili się na trzy obozy, z których każdy forytuje innego kandydata na opróżnione miejsce rabina. Zaciekła jednakże wojna, jaką żydzi pomiędzy sobą wiodą, ma tyle stron humorystycznych, iż doskonale nadawać się może jako temat do farsy. Przywódca bowiem jednego obozu żydowskiego nazywa siebie „Boulangerem“, a przeciwnicy jego w listach otwartych wyrażają się o nim, „że chyba rozum stracił, bo przecież ani jego ojciec, ani dziadek lub babka nawet husytami nie byli“! Na czele drugiego znów obozu stoi mąż, który przybrał nazwisko „Garibaldi!“ Nie wiadomo jeszcze, jaka historyczna postać stanie na czele trzeciego obozu.

Z Paryża donoszą do *Dziennika Poznańskiego.*: Tego roku z powodu niedomagania hrabiny Działyńskiej, nie było rozdania nagród w hotelu Lamberta. Nie mogły uczennice popisać się publicznie z otrzymania nagród w Sorbonie. Wyjątkowo im się tego roku poszczęściło. Marja Sokolnicka otrzymała dwa medale, Marja Trampczyńska jeden drugi medal i jeden pierwszy, Helena Salutryńska trzy pierwsze medale i dwa drugie, Bianka Piechocka cztery pierwsze i trzy drugie medale, Ludwika Bułcharowska pięć pierwszych medalów i dwa drugie, Aleksandra Barkłowska dwa pierwsze medale i dwa drugie. Pannom Piechockiej i Bułcharowskiej przyznano nadto medale srebrne, a pannie Barkłowskiej medal złoty.

Samobójstwo. W Paryżu odebrał sobie życie agent handlowy, Zwierzchowski. Samobójca od 3 lat mieszkał przy ul. Choiseul 23, gdzie prowadził biuro wyrabiania patentów przemysłowych. W ostatnich latach zajęcie to nie dawało dochodów, tak, iż Zwierzchowski wpadł w kłopoty pieniężne. Ostatecznie, znękany walką o byt, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie.

Repertoar operowy teatru miejskiego. Dziś w przeddzień urodzin cesarskich przedstawienie galowe, „Afrykanka“ opera w 5 aktach G. Meyerbeera z pp. Hellerówną, Kasprowiczową, Warmuthem, Jerominem, Górskim i Zegarkowskim (część dochodu na gimnazjum polskie w Cieszynie). W niedzielę 18 b. m. „Bal maskowy“, opera w 4 aktach Verdiego z pp. Kruszelnicką, Kasprowiczową, Schlaffenbergiem, Jerominem, Górskim i Zegarkowskim (ceny zwyczajne). We wtorek 20 b. m. „Afrykanka“ z pp. Hellerówną, Kasprowiczową, Schlaffenbergiem, Jerominem, Górskim i Zegarkowskim.

Repertoar teatru letniego. Dziś po raz trzeci „Bal maskowy“ z p. Feldmanem w roli Poularda.

Wykaz składek na pogorzelców Wojnicza. Konsystorz biskupi, Tarnów, składki w dyecezji: 553 złr. 53 ct., drzewo darowane przez ks. marszałka Sanguszkę, wartości 300 złr. Konsystorz książęco-biskupi, Kraków, z dyecezji 251 złr. 53 ct. Magistrat miasta Stary Sącz 100 złr. Festyn urządzony na pogorzelców galicyjskich przez Jaśnie Wielmożną p. Namiestnikową 200 złr. Po 25 złr. magistrat Sanok, Stanisław Dąmski z Rudawy, magistrat Podgórza, parafja Nowy Sącz, Rada powiatowa Nowy Sącz, ks. Pawlikowski z Jaworznia, Rada powiatowa Dąbrowa. Ks. Wolski z Dębicy 10 złr., p. Kretschmer z Krakowa 3 złr., parafja Lipnica murowana 20 złr., parafja Wietrzychowice 17 złr., magistrat Jasło 10 złr., gmina Ruda Wał 3 złr. 85 ct., Rada powiatowa Pilzno 10 złr., gmina Porąbka uszewska 13 złr. 8 ct., gmina Łoniowy 7 złr. 50 ct., Strzyżów Wołkowicki 10 złr., Starostwo Kraków 12 złr. 98 ct., Rada powiatowa Stanisławów 15 złr., parafja Wojakowa 7 złr. 39 ct., gmina Iwkowa 3 złr., administracja *Czasu* 13 złr., p. Jan Wojnicki 1 złr., p. Edmund Trojanowski 2 złr., magistrat Biała 5 złr., magistrat Żółkiew 10 złr., parafja Olszyny 5 złr., parafja Rajcza 8 złr., „Sokół“ bocheński 18 złr., zabawa w Zakliczynie przez p. Siebera 4 złr. 55 ct., Starostwo Kraków 7 złr. 56 ct., parafja Koszarawa 2 złr. 30 ct., parafja Radłów 16 złr. Łaskawym ofiarodawcom wyraża komitet ratunkowy w imieniu nieszczęśliwych pogorzelców serdeczne Bóg zapłać! — Wojnicz d. 14 sierpnia 1895.

Ks. Józef Rosner, Zygmunt Jordan, Franciszek Słowiński.

Nekrologja. Józefa z Łempickich Konstantowa Morawska, matka profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, dra Kazimierza Morawskiego, lat 73, zmarła w Krakowie 15. b. m.

JUBILAT.

Humoreska z życia urzędniczego,

napisał **Teodor Smolarz.**

(Dokończenie)

Po długich naradach uchwalono ostatecznie, że wszyscy podwładni prezydenta dadzą się gremjalnie fotografować, następnie w sali posiedzeń, stosownie do okoliczności udekorowanej, nastąpi wręczenie fotografji, przy wygłoszeniu stosownych mów, a w końcu odbędzie się wspólna uczta w sali hotelu pod „Nadzwyczajnym śledziem pocztowym“. Fotograf, Aron Sonneschwarz, aczkolwiek niedoprowadził w odtwarzaniu rysów i ludzi tak daleko jak Rotszyld, który również zajmuje się fotografowaniem, to jednak fotografje jego były dość dobre, prawie zawsze kobietę od mężczyzny można było rozróżnić i chyba miały tę jedną wadę, że czasem były za jasne, a czasem za ciemne. Na jasnych wyglądali fotografowani jak duchy, które lada chwila rozpłyną się w powietrzu, na ciemnych zaś jak murzyni kameruńscy. Fotograf poradził tym, co się mieli fotografować, by sobie dali pozapiekać włosy, co, naturalnie, prócz łysych, wszyscy chętnie uczynili, gdyż byli głęboko przekonani, że się to wielce do uczczenia jubilata przyczyni. Fotografja nieszczególnie wypadła, zwłaszcza, że była zanadto ciemną i przypominała obrazki umieszczane w *Misjach katolickich*, a przedstawiające grupy niedawne nawróconych Murzynów i ludożerców.

Ponieważ w mieście nie było tapicera, a na sprowadzenie go z innego miasta szczupłe pensje urzędników nie wystarczały, powierzono zatem udekorowanie sali posiedzeń przedsiębiorcy pogrzebowemu, który w tym względzie miał wprawę i niejednokrotnie dekorował pokoje ku zadowoleniu żywych a bezwątpienia także i nieboszczyków. Okoliczność ta miała jednak stać się sprawą cylejską dla całej uroczystości jubileuszowej. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Nadszedł dzień uroczysty i w hotelu pod „Nadzwyczanym śledziem pocztowym“ stał cały szereg butelek wina szampańskiego. Jedzenia było tak wiele, że urzędnicy wszystkich rang, zwłaszcza do ósmej rangi, nawet bez dodatku sustentacyjnego raz w życiu mogli się najeść do syta. W sali udekorowanej i obwieszonej w około jakąś niebieską materją, zebrali się uczestnicy jubileuszu, częścią ubrani w mundury, częścią we fraki. Nastrój panował uroczysty, a tylko zapach rozchodzący się w sali posiedzeń nie zupełnie odpowiadał uroczystej chwili, niebieska bowiem materja, którą obwieszone były ściany sali, wydzielała silny zapach karbolu, a zaś fraki i mundury, stosownie do tego czem ich właściciele usiłowali uchronić od moli, wydzielały niewonny zapach naftaliny, piżma, lub też terpentyny z kamforą. Zresztą prócz niemiłego i nieprogramowego zapachu, wszystko odbywało się stosownie do programu. Gdy prezydent przybył do biura, deputacja udała się do niego i przyprowadziła go do sali posiedzeń. Jubilat rozejrzawszy się po sali, szukając przygotowanych darów, gdy ujrzał samą fotografję leżącą na stole, zrobił nadzwyczaj smutną minę i łzy stanęły mu w oczach. Radca Pipkiewicz właśnie począł wygłaszać mowę do jubilata, chwaląc jego cnoty i zalety, gdy w tej chwili przed gmachem sądowym zaczął grać kataryniarz znaną piosnkę: „Na zielonej łące“, a jednocześnie z dwoma żołnierzami policyjnymi wpadł do sali fizyk miejski. Powstał popłoch ogólny: fizyk rozkazał wszystkim bezzwłocznie ze sali się wydalić i pozdzierać ze ścian niebieską materję, która przed kilku dniami była użyta do udekorowania pokoju, w którym leżały zwłoki zmarłej na tyfus plamisty małej dziewczynki. Wszyscy, wraz z jubilatem, wybiegli ze sali, a po skropieniu ich przez fizyka kwasem karbolowym, udali się do hotelu pod „Nadzwyczajnym śledziem pocztowym“ i tu dopiero przy szampanie uczcili należycie jubilata. Jedynym może złym skutkiem uczty to było, że żołądki urzędników niższych rang, krótki czas były przekonane, że już nastąpiła regulacja płac urzędniczych, że codziennie tak będą fetowane, a poznawszy, że je oszukano, chorobą mściły się na swych właścicielach. Jubilat po wręczeniu mu fotografji z obowiązkowemi łzami w oczach, dziękował za fotografję i pamięć o jego jubileuszu, a fotografję do dnia dzisiejszego oglądać można w jego salonie, w którym także panna Róża dalej swej dziewiczości strzeże.

HUMOR.

— Rachunek wasz wynosi złr. 1 ct. 50.
— Na drugi raz zapłacę.
— Ale ja was nie znam.
— To nie szkodzi, właśnie pada deszcz więc pożyczcie mi parasola, to już będzie pewność, że ja wrócę.

Artystka w garderobie teatru woła:
— Teraz proszę mi przygotować kwiaty do włosów!
— Kwiaty to mam przygotowane, tylko włosy się gdzieś zapodziały.

Ogłoszenie autentyczne:
„Do wynajęcia gabinet z łóżkiem i osobnem wejściem, dla przyzwoitego mężczyzny, z bielizną lub bez“.

— Patrz, ten X. znów się upił. On się zatacza...
— Pozwól mu się zataczać, są to jedyne chwile, kiedy ma co w głowie.

— Przepraszam pana naczelnika, ale nie mogę w żaden sposób odczytać tego papieru.
— Mocno żałuję, ale i ja nie potrafię poradzić, bo już trzy dni jak go pisałem.

U malarza.
— Za taki obrazek proponujesz mi pan 25 rubli, myślisz pan, że już umieram z głodu? Do tego jeszcze nie przyszło.
— Nic nie szkodzi, ja poczekam.

Na wystawie w Sukiennicach.
Niedziela, godzina 11-ta przed południem. Podlotek wchodzi z mamą na wystawę. Pusto jeszcze.
— Widzisz, mamo — rzecze podlotek z goryczą — mówiłam, że jeszcze zawcześnie! Teraz musimy całą godzinę patrzeć na nudne obrazy, zanim ludzie nadejdą....

Głupski, zaproszony na objad, wygaduje takie niedorzeczności na pewnego Iksa, że pani domu uważa za stosowne zachęcać go pewnemi znakami porozumiewawczemi do... milczenia. Po objedzie pan domu bierze Głupskiego pod rękę:
— Panie Głupski, cóżeś pan wygadywał?!
— No?
— Nawprost pana siedział rodzony brat Iksa.
— Rodzony brat? Dalibóg nie wiedziałem.
— Przecież żona moja dawała panu znaki.
— Tam do djabła! — woła Głupski — a ja myślałem, że robi do mnie... oko!!!...

OSTATNIA POCZTA.

Zgodnie z oświadczeniem hr. Kielmanseggа w Izbie poselskiej, iż rząd popierać będzie chętnie załatwienia kwestji pragmatyki służbowej i że w najbliższym czasie sprawę tę weźmie pod rozwagę, utworzoną została komisja ministerjalna, która pod przewodnictwem szefa sekcji w ministerstwie spraw wewnętrznych Sagassesa, rozpoczęła obrady nad odnośnemi kwestjami pragmatyki służbowej, a mianowicie zajęła się uregulowaniem kwestji tabel kwalifikacyjnych.

Oficjalnie stwierdzają, iż bezzasadnem jest doniesienie *Köln. Ztg*, jakoby co do reform armeńskich nie istniało już porozumienie między Anglją, Francją i Rosją. Trzy te państwa pozostają ze sobą w tej sprawie w zupełnej zgodzie.

Biuro Reutera z Majungi donosi, że jenerał Duchesne wyruszył w pochód przeciw Hovasom, którzy oszańcowali Kinajy, miejscowość położoną między Andribą a Antananariwą. Cztery tysiące Hovasów przybyło podobno do Bemaivo, oddalonego dwa dni drogi na północ od Marovoay, w zamiarze odcięcia Francuzom dowozu żywności. Wskutek grasującej malarji, panuje wśród Francuzów wielka śmiertelność.

Z Madrytu telegrafują: Wczoraj wieczorem umieszczono w wagonach, przeznaczonych do Kuby, szwadrony wojska. Wojska te wysłane zostaną stąd najprzód do Kadyksu. Na dworcu był obecny minister wojny, reprezentacja miasta, oraz wszystkie władze cywilne i wojskowe. Przeszło 100.000 osób wypełniło dworzec kolei i pobliskie ulice, wznosząc przeciągłe entuzjastyczne okrzyki. Biskup Silon miał na dworcu przemowę do żołnierzy i udzielił im błogosławieństwa. Gdy pociąg ruszył, ponowiły się burzliwe okrzyki.

Prezes ministrów Canovas, wyjechał do Vitorji, gdzie królowa rejentka odbędzie przegląd przeznaczonej do Kuby artylerji.

Książę Bismark wymówił się brakiem zdrowia od przybycia do Berlina na położenie kamienia węgielnego pod pomnik dla cesarza Wilhelma I.

Wypadek, jaki wydarzył się dnia 14 b. m. w Belgradzie królowej Natalji przy wyjściu jej z kościoła wraz z królem, o czem telegrafowano nam onegdaj, taki miał przebieg: Kiedy królowa ukazała się na ulicy, zbliżyła się do niej kobieta, w wieku około lat 40-tu, i chwyciwszy królowę za ramię, zamierzyła się na nią ręką, lecz w tejże chwili zjawili się żandarmi, nie dopuszczając do czynnego znieważenia królowej. W policji, dokąd kobietę ową sprowadzono, pokazało się, iż jest to warjatka, która też tłomaczyła się, że nie wiedziała ona zgoła, iż dama wychodząca z kościoła jest królową. Broni żadnej przy niej nie znaleziono.

W dniu 14 sierpnia b. r., jak donoszą z Rzymu, z warstatów okrętowych i arsenału w Castellamare, spuszczono na wodę nowo zbudowany krzyżownik „Vittore Pisani", w obecności ministra-prezydenta p. Crispi, władz miejscowych i nieprzejrzanych mas publiczności. Crispiego publiczność przyjmowała życzliwemi i radosnemi okrzykami.

Z Hawany donoszą, jakoby jen. Maceo obwołany został prezydentem Kuby.

Telegramy

własne „*Głosu Narodu*".

Bruksela 17 sierpnia (rano). Ustawa szkolna katolicka została w drugiem czytaniu przyjęta 81 głosami przeciw 52.

Bruksela 17 sierpnia (rano). Kongres międzyparlamentarny przyjął wniosek, żeby na miejsce przyszłorocznego kongresu obrać Budapeszt.

Zofja 16 sierpnia (w południe). Po pogrzebie dep. Kitantschiewa na cmentarzu tutejszym, tłumy ludzi pospieszyły na grób Stambułowa, chcąc go zniszczyć. Wystąpiła żandarmerja, która wybrykom przeszkodziła i zbiegowisko rozpędziła.

Bruksela 16 sierpnia (w południe). Wczorajszego wieczora nastąpiło zderzenie się pociągów na drodze między Brukselą a Ostendą. Konduktor zabity, wiele osób rannych.

Londyn 16 sierpnia (w południe). Mowa tronowa królowej angielskiej stwierdza doskonały stosunek W. Brytanji do wszystkich państw i określa położenie w Europie, jako pokojowe.

Radom 16 sierpnia. Dzisiaj w nocy, ofiarą strasznego pożaru padło całe miasteczko Przytyk pod Radomiem. Ocalał kościół, poczta, synagoga, apteka. Skutkiem pożaru kilkaset rodzin pozostało bez dachu i chleba. Straty ogromne. Pożar wybuchł o godzinie 11-tej w nocy.

Ryga 16 sierpnia. Zjazd przedstawicieli estońskich towarzystw wstrzemięźliwości postanowił starać się o współudział nauczycieli szkół ludowych w sprawie trzeźwości i o zakaz sprzedaży napojów spirytusowych na jarmarkach wiejskich.

Odesa 16 sierpnia. Do Władywostoku wyruszył parowiec „Saratow" z trzema rotami ussuryjskiego bataljonu żandarmów i z materjałami do budowy kolei.

Petersburg 16 sierpnia. *Journal de St. Petersbourg* pisze, że rząd rosyjski nie rozsyłał żadnej noty w sprawach bułgarskich, jaka się ukazała w formie telegramu do gazet wiedeńskich.

Petersburg 16 sierpnia. Importerzy amerykańscy zwracają się do jeneralnego konsulatu rosyjskiego w Nowym Jorku o informacje co do cen w sprzedaży hurtowej, oraz frachtów i wzorów towarów rosyjskich: lnu, szczeciny, lin, wełny, skóry, płótna, sukna, wojłoku, bielizny gotowej, materyj niefarbowanych do obijania mebli, tiulu, smarów i olejów mineralnych i t. d. Jeneralny konsulat, pragnąc skorzystać ze sposobności i przyczynić się do wywozu towarów z Rosji do Ameryki, urządza wystawę towarów. Departament handlu prosi tych, co chcą poprzeć ten projekt, lub są zainteresowani w zbycie towarów w Ameryce, aby żądane próbki posłali do konsulatu jeneralnego w Nowym Jorku.

Metz 16 sierpnia. Naczelnik władzy miejscowej ostrzegł deputacje weteranów od przekraczania granicy francuskiej, celem odwiedzania mogił poległych w r. 1870 towarzyszów. Wieńce, przeznaczone na groby, położone na terytorjum francuskiem, nie powinny nosić wstęg o barwach niemieckich.

Konstantynopol 16 sierpnia. Dziennik *Macedonia* domaga się zawarcia przymierza pomiędzy Turcją i Serbją.

Rzym 16 sierpnia. Dom karny w Ankonie spalił się doszczętnie.

Rzym 16 sierpnia. Wyrok Izby oskarżeń trybunału rzymskiego, odrzucający skargę Cavallottiego przeciw Crispiemu, o złożenie fałszywego świadectwa i przekupstwo, sprawił dlatego silne wrażenie, ponieważ trybunał ze zbadania przedstawionych dokumentów, przekonał się istotnie o ich bezpodstawności. Cavallotti wychodzi z tej sprawy, jako oszczerca, powodowany jedynie pobudkami politycznej nienawiści.

Madryt 16 sierpnia. Na kolei, wiodącej do Bilbao, skutkiem zetknięcia się pociągów ośm osób poniosło rany.

Madryt 16 sierpnia. Eskadra angielska odpłynęła znowu z Tangeru.

Londyn 16 sierpnia. Walki w Unyoro skończone. Siły wojenne Kabaregi zniszczone.

Londyn 16 sierpnia. Z Tokio donoszą o wybuchu przesilenia gabinetowego w Japonji, ponieważ ministrowie Ito i Yamagata, nie chcą przyjąć tytułu markizów, dopóki inni koledzy nie otrzymają zasłużonych odznaczeń.

Londyn 16 sierpnia. Potwierdza się wieść, że cesarz chiński ogłosił edykt, dotyczący obrony życia i mienia misjonarzy chrześcijańskich.

Londyn 16 sierpnia. Schwytano już pięciu uczestników ostatnich rzezi. Będą oni niezawodnie ukarani śmiercią.

Londyn 16 sierpnia. *Daily News* donoszą z Yokohamy: Japonja jest stanowczo zdecydowaną, zerwać traktat z Chinami. Woli ona raczej prowadzić nową wojnę, aniżeli ustąpić Koreę. Dlatego zarząd marynarki japońskiej, zamówił w Anglji 22 okrętów wojennych i znaczną liczbę torpedowców. Japonja liczy bezwarunkowo na pomoc Anglji.

Waszyngton 16 sierpnia. Prezydent Cleveland odmówił stanowczo przyjęcia kandydatury na trzeci okres prezydjalny.

Waszyngton 16 sierpnia. Rząd otrzymał od posła swojego w Pekinie telegram, donoszący, że tenże poczynił energiczne przedstawienia z powodu splądrowania własności misjonarzy amerykańskich i otrzymał przyrzeczenie opieki i odszkodowania. Poseł Derby sądzi, że należy powstrzymać się od kroków zbrojnych.

Nowy Jork 16 sierpnia. *New York Herald* donosi: W Tokio wynikło przesilenie ministerjalne. Przesilenie wywołali hrabiowie Ito i Yamagata, którzy odmówili przyjęcia udzielonego im tytułu markizów, jeżeli niektórzy z ich kolegów w gabinecie nie otrzymają odznaczenia.

Gospodarstwo i handel.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 17 sierpnia.

Licząc na to, że w miarę zwiększania się dowozów, ceny zboża będą się musiały obniżyć, młyny miejscowe kupowały w ostatnim czasie bardzo mało, tak, że żadnych prawie nie mają zapasów. Tymczasem spodziewane zwiększenie dowozów nie nastąpiło dotąd, ponieważ producenci ze względu na niskie ceny, nie spieszą się z omłotem i sprzedażą. Wobec tego na targu dzisiejszym poszukiwanie wzięło niejako górę nad podażą, a skutkiem tego jakkolwiek ceny nie zdołały się podnieść, ale przynajmniej odbyt był łatwiejszy. Jęczmień browarny kupowanoby, lecz go dotąd nie ma, gorsze gatunki płacono cokolwiek lepiej.

Płacono nową pszenicę: białą —·— do —·—; czerwoną 7·20 do 7·40 złr.; żółtą 7·15 do 7·35 złr.; żyto nowe 6·10 do 6·45 złr.; jęczmień browarny —·— do —·— złr.; na paszę 5·60 do 5·85 złr.; owies stary 6·— do 6·40 złr.; wykę —·— do —·— złr.; rzepak 8·90 do 9·— złr. Wszystko za 100 kilogramów.

Przyjechali do Krakowa.

Grand Hotel. H. Ribinshon z Wiednia, M. Dylewska z Warszawy. Fr. hr. Karwicki z Wołynia. M. Wosiński z Węgier. E. hr. Zichy z Pesztu. A. Jundelewska z Warszawy. H. Schreiber z Bielska. Fr. Peltzer z Bielska. E. Selinger z Wrocławia. W. hr. Sartiges z Paryża. M. Chyrosic z Piotrkowa. H. Przybyłowska z Król. Pols. Mr. G. Schmidt z Paryża. C. Reig z Paryża. A. Gandet z Paryża. N. Bohnomme z Paryża. N. Mery z Paryża. Ch. Levoy z Paryża.

Hotel Saski. A. Ziemińska z Warszawy. M. Łuszczkiewiczowa z Zagaja. St. Wessel z Król. Pols. Dr A. Dzietzins z Jarosławia. Dr Bol. Madeyski ze Lwowa. A. Szmigil z Ameryki. Dr J. Witkowski z Warszawy. I. Siemaszko z Moskwy. Fr. Pawliszak z Warszawy. L. Kitzberger z Wiednia. K. Trepte z Warszawy. L. Orłowska z Warszawy. S. Adamkiewicz z Warszawy. J. Kareski z Berlina. K. Meklenburg z Warszawy. St. Olszewski z Warszawy. M. Smoleński ze Lwowa. M. Tejkowska z Warszawy. G. Krauss z Ilmenau. T. Stadnicki z Kozmanic. K. Hahne z Witten. K. Zaleski ze Lwowa. Dr K. Maramarosz z Kołomyi. Z. Grabowska z Warszawy.

(Rubryka „Nadesłane" nie pochodzi od Redakcji która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje.)

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszewa. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny Adolf Nowak.